ROZMAITOŚCI.

Dnia 27 grudnia, Ner 52. roku 1845.

ZALOTNICA
CZYLI:
GROBY KSIĄŻĄT POMORSKICH

(Dokończenie.)

Starzec westchnął kilka razy głęboko, a potém zaczął opowiadać daléj:

»Przyszedłszy do domu, nie mogłem doczekać się wieczora. Przygotowałem sobie latarkę, krzesiwo, siarniczki, stoczek, niektóre żelazne narzędzia do odważenia wieków u trumien, nożyce i inne podobne rzeczy; powkładałem sobie to wszystko po części jeszcze przed czwartą godziną do kieszeni. O szóstéj godzinie odezwał się jak zwykle dzwonek wieczorny, a około siódméj było już o téj porze roku, to jest w końcu lutego, zupełnie ciemno, tak iż mi do jutrzejszego rana długi przeciąg czasu dla wykonania mego zamiaru w sklepieniach grobowych pozostawał. Zaopatrzywszy się jeszcze cokolwiek w żywność, udałem się zwolna ku kościołowi, gdzie za uderzeniem szóstéj godziny postrzegłem zakrystyjana idącego jak zwykle z kluczem do fórty u wieży. Czarna noc, jaka wewnątrz wieży juz panowała, dozwoliła mi wkraść się niepostrzeżenie za kościelnym, i tymże samym sposobem postanowiłem wyjść ztamtąd jutrzejszego poranku.

Głucho a straszliwie zajęczał nademną dzwon ze szczytu ciemnéj wieży, jakby chciał niebu wskazać zbrodniarza, który bezbożnie wkradł się do świątyni. Nie zdołam wyrazić, jak mi się serce ścisnęło, gdy po niejakim czasie usłyszałem zakrystyjana zamykającego drzwi za sobą i wyciągającego z trzaskiem klucz z zamku Okropny przestrach obleciał mnie do koła, gdy się już samotnym, uwięzonym ujrzałem. Wysoka, olbrzymia budowa gmachu kościelnego ze swojémi rozłożystémi w zmroku tonącémi podziałami, zdała się osłupiało patrzyć na mnie, a rozlegający się szczęk wahadła u zegara wieżowego, nagabał mię tą straszliwą myślą jakgdyby tu prócz mnie jeszcze jakaś żyjąca dusza przebywała. Ależ czemuż tak się trwożę? pomyślałem sobie w duchu; albożto ja tu w zbrodniczym zamiarze przyszedłem? Nie, nie; Bóg mi tego za zbrodnię nie poczyta.— W ten sposób pocieszałem się w mojéj trwodze, a zechcesz-że pan uwierzyć temu? nawet ukląknąłem w pokorze, i zasyłałem modły do nieba, błagając o pomyślny skutek rozpoczętego dzieła. Poczém usiadłem sobie spokojnie na jednéj z ławek kościelnych i zacząłem spożywać podwieczorek, który z sobą przyniosłem. Lecz na ulicy nie mogło się prędko uspokoić, zawsze jeszcze słychać było turkot przejeżdżających powozów i gwar przechodzących osób; ażdopiero około dziesiątéj godziny uciszyło się tak dalece, iż mogłem wziąć się do dzieła. Powstałem, a chociaż bardzo ostrożnie szedłem, przecież kroki moje odbrzmiewały rozwlekle pod wysokiém sklepieniem, a przybywszy w pobliże wielkiego ołtarza, potknąłem się tak mocno — byłto zły znak — o duży ołowiany świécznik, iż się z łoskotem na posadzkę obalił i tak mnie okropnie przestraszył, że aż mi krew się w żyłach ścięła. Obejrzałem się dziko i prawie bez duszy w czarną noc poza siebie, i zdało mi się jakby razem wszyscy dwanaście apostołowie zeszli do mnie z ołtarza i grożno pątrząc na mnie, kołem mię otoczyli. Jednakże opamiętałem się po chwili, i dodając sobie odwagi, szedłem ostrożnie po omacku ku drzwiom prowadzącym do podziemnego sklepienia, w którém ciała książąt spoczywały, a które na ogromny zamek było zamknięte. Z bojaźni, abym się nie zdradził, nie zapaliłem jeszcze stoczka i starałem się klucz po ciemku w zamek wetknąć, co mi też po niejakiéj chwili się powiodło, lecz na nieszczęście moje zamek był tak mocno zardzewiały, iż przy największém natężeniu żadną miarą otworzyć go nie mogłem. Nie będąc na to przygotowanym, zmieszałem się niemało, lecz po krótkim namyśle, umiałem sobie zaradzić. Wziąłem trochę masła, które jeszcze mi na kromce chleba pozostało, i posmarowawszy niém klucz, zacząłem go znowu w starym zamku silnie obracać. Wszakże i to nic nie pomogło, a w końcu musiałem użyć po kolei wszy-

stkich narzędzi żelaznych, jakie z sobą przyniosłem, i probować, czy które przypadkiem do otworzenia zamku się nie przyda. Po długich usiłowaniach, wetknąłem hak całą mocą we środek, a za gwałtownem wszystkich sił natężeniem, odskoczył rygiel zamku z tak przeraźliwem skrzypnięciem, że aż okna kościelne zabrzęczały, a po całym kościele, jakby jęk spłoszonych ze snu straszydeł, rozległ się wyjący odgłos, i odbił się okropnie od jednéj do drugiéj pobocznéj kaplicy. Wraz otwarły się z trzaskiem ciężkie drzwi grobowca, a z otwartej przedemną czarnéj trupów przepaści, zawiało na mnie stęchłe grobowe powietrze, a w domiar tem okropniejszego przestrachu, zaczęły w téjże chwili olbrzymie wagi wieżowego żegaru, przesuwając się w dół i w górę, skrzypliwie tarkotać, i uderzyła godzina jedenasta. Zgroza moja doszła do najwyższego stopnia; kolana zadrzały pode mną, włosy zjeżyły się na głowie, rzuciłem wszystkie narzędzia o ziemię, a sam jak złoczyńca z pod szubienicy zbiegły, zacząłem w obłąkaniu uciekać, lecz nadaremnie od jednych drzwi do drugich rozbijając się, zastałem wszystkie pozamykane!

Atoli zamysł do złego wraca zawsze nierównie prędzéj, niżli chęć ku dobremu! Głupcze — rzekłem po niejakiém opamiętaniu się sam do siebie — czyż niepowinnaby każda stara baba cię wyśmiać, gdyby twoję dziecinną trwogę widziała? Cóżto ci się dzieje? Któż teraz w strachy wierzy! Nie jestżeto dowiedzioną rzeczą, że wiara w strachy, jest zabobonem, urojeniem zagorzałego muzgu? I tyż nie wstydzisz się uciekać przed straszydłami, któremi dzieci straszą? zrzekasz się przeto skarbów i najpiękniejszéj w świecie dziewczyny? ty, który przecież tyle razy śmierci w tysięcznych różnych postaciach śmiało i nieustraszenie w oczy patrzyłeś? Wstydź się! Nabierz odwagi, daléj, żwawo do dzieła! Wszak w téj chwili nawet i żywi we śnie spoczywają, a tymci bardziéj umarli!

Tak ośmielając się wszelkiemi sposobami, zapaliłem, dla dodania sobie większéj odwagi, przyniesiony z sobą stoczek, włożyłem go w latarkę, lecz rzecz dziwna! zamiast coby mię to miało było śmielszym uczynić, przejęło mię ono tém większą jeszcze trwogą. Gdyż teraz dopiéro stała się okropna otaczająca mię ciemność — iż tak powiém — widoczną! Straszliwe, podłużne cienie kolumn leżały na posadzce po lewéj i prawéj stronie całego ogromnego kościoła, a za każdym krokiem zdały mi się w oddalonéj głębi, z ciemnego tła, coraz groźniejsze wysuwać widma! Promień światła z mojéj latarki uroniony, który po wizerunku zbawiciela nad konfesyjonałem pośliznął, wstrząsł mną śmiertelnie, bo widziałem wyraźnie, jak mię wzrok zbawiciela upominająco przeszywał! Chcąc wzroku jego uniknąć, zamknąłem oczy i szedłem daléj, podnosząc nogi wysoko, sam niewiém czemu? — aż pokim konfesyjonału nie minął. Poczém odetchnąłem cokolwiek swobodniej, lecz gdym się nanowo ku drzwiom sklepienia grobowego zbliżył, i ponad czarną przepaścią pochylony, latarką wgłąb poświecić chciałem, i znowuż owo stęchłe, grobowe powietrze mnie ozionęło, uczułem wtedy jakby kamieniem pierś moję przytłoczoną, i nie mogłem kroku postąpić. Ztémwszystkiém, gwałt sobie zadawałem, i nanowo szydzić z siebie zacząłem. Wreszcie trzymając w jednéj ręce latarkę a w drugiéj narzędzia żelazne do trumien wyłomu, puściłem się na dół w grobowe sklepienie po schodach; lecz zaledwie na drugim schodzie stanąłem, już mi się zdało, że tam w głębi coś mocno niby zatrzeszczało. Szybko więc wstecz się cofnąłem; nowy przestrach wstrząsł mémi członkami, krew w żyłach się ścięła, serce zaczęło mi bić gwałtowniéj, i tak stojąc drżący i prawie bez duszy u wnijścia podkościelnego sklepu, patrzyłem osłupiało w głąb, nadsłuchując trwożliwie, czy się jaki odgłos ruchu nie ponowi. Ale że wokoło najgłębsza cisza panowała, przeto wmówiłem w siebie, iż to co wprzódy zasłyszałem, było tylko złudzeniem, i trwogi mojéj skutkiem, i zacząłem już śmieléj na dół w przybytek umarłych schodzić. Tym razem powiodło mi się szczęśliwie. Zaszedłem na sam spód sklepienia, spozierając bojaźliwie przy podniesionéj w górę latarni na duże trumny książęcę, które popod białémi ścianami sklepienia, jednym długim szeregiem stały, a z których ostatnie, w straszliwą ciemną dal idąc, przed moim wzrokiem nikły. Zaraz pierwsza trumna była bogato ozdobna, a jéj śrébrne, wypukłą rzeźbą okryte tarcze, dodały mi ochoty do wyszukania większych jeszcze kosztowności, które się wewnątrz kryły. Zabrałem się więc śmiało do odważenia wieka, gdyż pożerająca mię żądza grzéchu była tak niepowściągniona, iż mimo wyraźnych skinień rozgniewanego bóstwa, mimo okropnego wzdrygania się obrażonych uczuć natury, nieszczęsna chciwość złota, wszystkie inne zbawienne głosy w piersi méj przygłuszyła. Tchórzu! zawołałem na siebie — cóż tam wewnątrz innego leżéć może, jak tylko kości i popiół? — a rzekłszy to, zasadziłem dłuto w szczelny spój trumny ołowianéj. Naraz, gdy się już wieko na kilka cali podchyliło, zdało mi się że nademną w kościele ktoś chodził, niby to było stąpanie kilku ludzi... Nie chciałem sam sobie dać wiary i starałem się wmówić w siebie, iż to jest rozlegający się w powietrzu bałuch, sprawiony głośnem odskoczeniem podważonego wieka trumny, które w istocie ze szczelnego swego spoju wyparte, kilkokrotnie o sklepienia kościelne odtętniło — ależ oto — te kroki nadchodziły coraz bliżéj i teraz stanęły ponad wnijściem do sklepienia — a

teraz, o nieba! dał się słyszeć jakiś pisk i niby skomlenie!

Tój ostatecznój grozy nie byłem już w stanie wytrzymać; padłem jak długi na ziemię, a zarazem i dłuto z rąk mi wyleciało, przy czém obaliłem także latarkę stojącą na wieku trumny i wraz światło zagasło! — Okropna ciemność zaległa széroko nade mną i zagrzebała mnie w swojéj otchłani!

Niepodobna jest, aby potępieńcy w piekle straszniejszéj męczarni doznawali od téj, jakiéj ja teraz przy zdrowych zmysłach doznawać musiałem, słysząc jak coś po schodach ze świata żyjących ku mnie w przebytek umarłych zchodziło, aż już reszta krwi mojéj, jaka jeszcze w otrętwiałych członkach krążyła, gwałtownie do serca cisnąć mi się zaczęła. Ach, teraz i tyle mi nawet siły nie pozostało, ile drobny owad ma do życia, gdy oto wyraźnie uczułem, iż owe tajemnicze zjawisko mnie się dotknęło.

Nadmiar niewysłowionéj trwogi odjął mi wszystkie zmysły — o, czemuż nie odjął mi także życia, nim jeszcze zbrodni méj dopełniłem! Przyszedłem do siebie niestety dość prędko, aby ją jak najzupełniéj wykonać! Bo któż opiszę radość moję, gdy po chwili opamiętania się, z zadziwieniem poznałem mego ulubionego daksa, stojącego mi na piersiach, i liżącego mię po twarzy. Jak się ten piesek do kościoła dostał, jest mi po dziś dzień tajemnicą. Dość na tém, iż go uchwyciłem i do serca przyciskałem, jak najwierniejszego przyjaciela, który od śmierci mię ocalił. Myśl, iż przecież jeszcze jakaś żyjąca istota przy mnie się znajduje, dodała mi nadzwyczajnéj odwagi. Z olbrzymią siłą zerwałem się z ziemi, skrzesałem ognia i zapaliłem znowu stoczek, nie mogąc się od téj pociechy wstrzymać, abym się wprzód przez chwilkę z moim daksem, z moim domowym przyjacielem nie popieścił! Poczém wziąłem się bez odwłoki do roboty, i szedłem plądrując od jednéj trumny do drugiéj; aż w końcu odchyliwszy wieko z ponad trumny jakiéjś księżniczki, naraz nowe niespodziane przerażenie omało mną o ziemię nie rzuciło. O nieba! To moja kochanka! zawołałem. Miałażby ona w jakiś niedocieczony sposób, dla napędzenia mi strachu, wpaść na tę okropną igraszkę? Taż sama twarz, taż sama postać, ani śladu strupieszałości — lekki wieniec mirtowy na tychże samych włosach — ten sam dołek u ust — Mino! zawołałem głośno — Mino, przez Boga odezwij się! To mówiąc, chciałem jednę z jéj w krzyż złożonych rąk uchwycić, lecz za dotknięciem rozsypała się cała postać w mogiłkę popiołu — jako przerażający obraz mego szczęścia i mojéj miłości!... — Byłyto zwłoki jakiéjś księżniczki, która z twarzy do mojéj kochanki dziwnie podobną była, i nadnaturalnie jakby żyjąca się wydawała

Zrabowawszy tak rzędem wszystkie trumny książęce, i przypatrując się uzbieranym łupom, ujrzałem się w posiadaniu następnych skarbów: złotego łańcucha, dziewięciu łokci długości — złotéj, bogato brylantami wysadzanéj wstęgi od kapelusza — trzech złotych pierścieni dyjamentami wysadzanych, czterech garści prawdziwych pereł, tyluż garści złotych, na pamiątkę śmierci bitych monet z trumny owéj księżniczki — innego łańcucha ze złotym medalijonem, u którego mały złoty chart wisiał — tudzież trzeciego łańcucha z puszką balsamową, — drugiéj dyjamentami ozdobnéj wstęgi od kapelusza — kilku złotych kólców — puinału wysadzanego brylantami — przepysznego sygnetu z nadzwyczajnie wielkim rubinem — wreszcie wielu innych kosztowności, które w téj chwili już zapomniałem. Wszystko to włożyłem łakomo do kieszeni, poczém około drugiéj z północy, wyszedłem z grobu, a za każdym krokiem spadał mi kamień z piersi, któréj w końcu, gdy już na wierzch się wydostałem, w długiém, głębokiém odetchnieniu, zupełnie się ulżyło. Drzwi do sklepienia dały się łatwiéj zamknąć; co uskuteczniwszy, zdało mi się, jakbym się z piekła do nieba przeniósł, tak jasno i promienisto otoczyły mię naraz obrazy nadziei i radości. Tylko modlić się jeszcze nie mogłem, albowiem złe sumienie odzywa się natychmiast po dokonanéj zbrodni, a chociaż się czasem na chwilę uspokoi, nigdy przecież nie milczy, gdy zbrodniarz che się do Boga zwrócić.

Wstąpiłem do jednéj z bocznych kaplic kościoła i zacząłem tam wraz z moim daksem pozostałe jeszcze resztki żywności na śniadanie spożywać, oczekując z niecierpliwością szóstéj godziny, kiedy kościelny drzwi do kościeła miał otworzyć i na modlitwę poranną zadzwonić. Jakoż usłyszałem go niebawem podzwaniającego pękiem kluczów przed drzwiami, i omało żem tu nie został zdradzonym przez mego daksa, który mimo wszelkich moich pogróżek warczeć zaczął, a potém gdy się drzwi kościelne z łoskotem otworzyły, głośno nawet szczekać się zabierał. W téj ostateczności nie pozostawał mi inny środkek, jak spieszno ścisnąć go za gardło, i udusić, — udusić stworzenie, które ze wszystkich istot na świecie najszczerzéj do mnie było przywiązane! Poczém wykradłem się niepostrzeżenie z kościoła, i rzuciwszy uduszonego psa w piérwszy lepszy kąt na ulicy, odetchnąłem wolno świéżém rannem powietrzem.

Tak przebyłem ostatnie niebezpieczeństwo, i zwróciłem się prosto ku domowi mojego przyszłego teścia, którego też już przy kawie, wygodnie na sofie rozłożonego zastałem.

„Dzień dobry, ojcze!” zawołałem wesoło — „oto miałem nowy sen téj nocy, i przychodzę wam powiedzieć, że na każdy wypadek wyjeżdżam naza-

jutrz do Hamburga, gdyż wasza nieboszczka żona nie daje mi spokoju, i przyrzeka wyraźnie, iż mi się w jasny dzień okaże, jeżeli natychmiast do Hamburga po pieniądze nie pojadę i z Miną się nie ożenię.»

„Wszelki duch chwali pana Boga!” odrzekł stary zdejmując trwożnie szlafmycę i zaglądając nieśmiało w kąt pokoju, gdzie jego osierocone łoże małżeńskie stało. „Tak, jestto rzecz osobliwsza, i mnie także śniło się dziś wesele.”

„Tembardziéj —” ozwałem się — „mogę sobie tuszyć, iż dotrzymacie mi słowa i nie wydacie Wilhelminy przed moim powrotem za mąż ”

„Daję wam na to słowo —” zapewnił ojciec mojéj kochanki — ”Jakoż mówiłem już nawet wczoraj z waszym rywalem, który, prawdą a Bogiem, nie bardzo mi się podoba; bo ręczę że nie jest w stanie pognać okrętu na morze hiszpańskie; tu na téj naszéj bałtyckiéj kałuży, to jeszcze pół biédy, jeszcze jako tako mu idzie, ale gdzież jemu daléj poza niemieckie wybrzeża!”

„A gdzież Mina?” spytałem, przerywając rozmowę; dowiedziawszy się zaś iż spi jeszcze, pożegnałem się aż do wieczora, bo w téj chwili przypomniałem sobie, iż należało nim odjadę, znowu zawiesić ów nieszczęsny klucz od grobowca na jego miejscu. W tym celu poszedłem natychmiast do księdza, który nas wczoraj oprowadzał, i prosiłem go, czyby mi nie był łaskaw pokazać raz jeszcze owe podziwiane dnia wczorajszego obrazy na atłasie, ponieważ radbym był porównać jednę odwzorowaną tam wyspę z moją mapą żeglarską. Poczciwemu staruszkowi nie chciało się łazić ze mną po schodach, a przeto dał mi starą swoję służącę do zaprowadzenia mię na salę biblijoteczną, z czego ja korzystając, z łatwością klucz na dawnem jego miejscu zawiesiłem, i wnet z sali wyszedłem.

Nie będę pana nudził opisywaniem mojego czułego pożegnania z kochanką, ani doznanych w podróży przygód, ani też sposobu, w jaki wszystkie moje kosztowne łupy na pół wartości, pojedyńczo spieniężyłem; dość że nim pięć tygodni minęło, wracałem już wesół do domu, wioząc z sobą dobrze naładowany trzos, w którym przeszło 8000 talarów w złocie się znajdowało.

Widok téj mamony zapewnił mi najgorętszą miłość Wilhelminy i przyjaźń starego skąpca, jéj ojca. Samo przez się wypadało, abyśmy nie odwlekali dłużéj wesela, które też we dwa tygodnie po moim powrocie z nadzwyczajnym przepychem się odbyło. Mimo moich lat siedmdziesięciu, muszę dziś jeszcze wyznać, iż ani przedtém ani potem nie widziałem nigdy tak pięknéj dziewicy, jaką moja Mina w dzień ślubu była. Pewien przejeżdżający malarz, który przypadkiem był na naszem weselu, prosił nas jak o największą łaskę, aby mu ją w postaci Junony odmalować wolno było, a jeżli pan kiedy w mieście L. będziesz, tedy możesz w tamtejszéj galeryi obrazów widzieć jéj wizerunek, jeden z najpiękniejszych portretów całego zbioru. Wprzódy jednak przypatrz się jéj *in natura*.— Pójdź tu, czarownico!”— zawołał starzec głośno ze złością.

Lecz któż zdoła wyobrazić sobie moje przerażenie, gdym ujrzał jakąś starą, żółtą, wyschłą, w łachmany przyodzianą babę z kaprawémi oczyma i trzęsącą się głową, wlokącą się o kiju do komnaty.

»Patrz pan!” rzekł szydersko starzec — „Oto moja kochanka, moja piękność! Cóż się pan dziwisz! Nie braknje jéj nic więcéj jak tylko świeżéj gładkiéj powłoki ze krwi i mięsa, aby i teraz jeszcze ludzi zaślepiała! O, szalona młodości! o, ślepy rodzie ludzki! o, nędzne — nędzne życie!”

Stara spojrzała zdumiona na swego męża, a potém z okropnie dzikiém spojrzeniem wykrzyknęła: „Opętańcze przecieżeś nie —„

„Tak jest” odrzekł starzec— „opowiedziałem mu wszystko, aby mi trochę lżéj do grobu zstąpić było, bo czuję, dzięki niebu, że mi do tego nie daleko. A gdziekolwiek pójdę, chociażby i do piekła, lepiéj mi tam będzie niż tu przy tobie, stara, obłndna czarownico.”

Widząc jak rzeczy stoją, zaczęła stara płakać i rzekła żałosnym głosem: — „Ach, gdyby wszystkie młode dziewczęta o tém wiedziały —”

»Na nicby się im to nie zdało. —” przejął starzec ze złością— »A teraz ruszaj, i przypatruj się tam wieży św. Piotra, jeżeliś do reszty już nie oślepła.”

Stara odeszła zwolna, mrucząc coś w gniewie, a mąż jéj, odetchnąwszy nieco z gwałtownego wzruszenia, jakie w nim widok jego zwodzicielki budzić się zdawał, toczył do końca opowiadanie:

„Zaledwie tak namiętnie pożądany przedmiot mojéj miłości posiadłem, zaczął mię oczywisty sąd Boży prześladować. Zaraz nazajutrz po weselu doszła nas smutna wiadomość, że mój rywal z rozpaczy życie sobie odebrał. Bo jak się to z pozostawionego przezeń listu okazywało, czyniła mu Wilhelmina w mojéj nieobecności najczulsze przyrzeczenia, chcąc go sobie na przypadek zachować, gdyby sny moje nie ziściły się. To stało się już w pierwszych dniach naszego małżeństwa urodzajnem ziarnem niezgody, która coraz bardziéj z każdym dniem się wzmagała, aż tu oraz zaczęły mię dochodzić wieści, że moja żona i teraz różnych tajnych miłostek nie zaprzestaje, a osobliwie podczas moich handlowych podróży nierządne życie wiedzie i wszystkich sąsiadów gorszy. Z czasem przyszło do tego, że Wilhelmina, rozgniewana mojemi naganami, wreszcie ostatnią maskę przywiązania do mnie zrzuciła, i otwarcie w najniegodziwsze znajomości się wdała. Jużem zamyślał o rowodzie, gdy oto spotkało mię nowe z innéj strony nie-

szczęście: utraciłem w drugiéj podróży morskiéj mój okręt, a znim cały majątek Przyszło mi wracać w dom żebrakiem, i żyć tylko z majątku mojéj żony, która mi go przy każdym kawałku chleba z goryczą wymawiała. Na domiar nieszczęścia okazało się, iż moje jedyne dziecię głuchoniemo się urodziło, będąc tak przez Boga na moje codzienne udręczenie za utajoną przed ludźmi zbrodnię przeznaczoném. Te wszystkie tak ciężkie klęski i zgryzoty sumienia, złożyły mię długą, niebezpieczną chorobą, w któréj podczas gdy ja w jednéj izbie w boleściach ze śmiercią walczyłem, moja zalotna żona w drugiéj ze swymi kochankami śmiała się i bawiła!»

Tu starzec zamilkł na chwilę, a gdy nanowo opowiadać zaczął, już głos jego był znacznie słabszym.

»Po kilku dopiéro miesiącach podniosłem się z łoża, lecz pozostały mi na zawsze boleśne kurcze i ciągłe prawie osłabienie całego ciała, co mię na przyszłość zupełnie niezdolnym do zarobienia sobie kawałka chleba uczyniło. Tak musiałem chcąc nie chcąc żyć z gorzkiéj jałmużny mojéj żony, która każdą łyżkę strawy w truciznę mi zamieniała. Aż nareszcie jéj rozrzutność i marnotrawstwo do zupełnego przywiodły nas upadku. Mój teść oddawna już umarł, nasz dom sprzedano, a my oboje z dziecięciem, pozostaliśmy o żebranym chlebie.

»Tysiąc razy przychodziło mi w téj rozpaczy na myśl, oddać się w ręce sprawiedliwości i zakończyć to nędzne życie na rusztowaniu lub w długoletniém więzieniu. Jedna tylko troskliwość o moje nieszczęśliwe dziecię wstrzymała mię od tego kroku i zapędziła w te zwaliska, gdzie już blizko dwadzieścia lat z jałmużny miłosiernych ludzi żyjemy.

»Tyleto nieszczęścia może niegodziwa, zalotna kobięta zwalić na głowę mężczyzny!»

»Kłamiesz, zbrodniarzu!» wrzasnęła stara, która podsłuchawszy pod drzwiami opowiadanie starca, wpadła teraz wściekle z rozczochranémi włosy, ze spojrzeniem jędzy, z podniesionym kosturem, krzycząc ostatniemi siłami: — „Kłamiesz, złoczyńco! Tyśto wszystkiemu winien! Teraz ja panu opowiadać zacznę!»

„Co!?» zawołał chory starzec, nieposiadając się od złości i zrywając się gwałtownie z łoża. Lecz ten wybuch zaciekłego gniewu zgasił ostatni płomyk życia w jego konającéj już piersi — padł niemo na łoże, i nie powstał więcéj.

Niewysłowiona zgroza ogarnęła moję duszę. Przystąpiłem do łoża i rzekłem do staréj „Już nie żyje!» Na te słowa rzuciła się zgrzybiała grzesznica na martwe zwłoki starca i wszczęła krzyk przeraźliwy, podobny do radosnego wycia szatanów, witających duszę długo oczekiwanego grzesznika. I jakby też w istocie ćma szatanów mię ścigała, uciekałem z tych miejsc okropnych, i udałem się czém prędzéj w dalszą podróż.

Dopiéro w kilka lat, gdy znowuż przez miasteczko W. przejeżdżałem, zwidziłem powtórnie owe zwaliska, lecz znalazłem tam wcale innych mieszkańców — ubogą, ale uprzejmą matkę, otoczoną gronem rumianych dziatek, piekącą ziemniaki przy ognisku. Od téj dowiedziałem się, iż stara Wilhelmina wkrótce po mężu umarła, a jedyne pozostałe ich dziecko, w tutejszym miejskim domu ubogich umieszczone zostało.

Jestem więc uwolniony od mego słowa, i ogłaszam tu tę okropną historyją dla przestrogi wszystkich zalotnych dziewcząt i kobiét, chociaż prawdziwie się obawiam, aby się na większéj części z nich nie ziściło, co ów umierający starzec swojéj zwodzicielce odpowiedział:

»Na nic im się to nie przyda!»

Historyja francuzkiéj gwardyi cesarskiéj.

Wracając r. 1799 z Egiptu przyprowadził Napoleon część swoich guidów z sobą do Francyi. Przybyli oni w kilka dni po wypadku 18go *brumaire* do Paryża i zostali w tak zwanych babilońskich koszarach umieszczeni, nazywając się już nie korpusem guidów jenerała Bonapartego, lecz gwardyją piérwszego konsula Uprzywilejowany ten korpus obudził zrazu zazdrosne szemranie przeciw sobie, lecz wkrótce pozyskał on tak wielką powagę w oczach swoich rywalów, iż późniéj w krwawych bitwach cesarstwa, najdzielniejsze pułki linijowe same gwardyją jako niezawodnych sprzymierzeńców i niezłomną podporę ku pomocy wzywały.

Pomiędzy oficerami gwardyi, nawet w podrzędnych stopniach, panował wielki przepych; gdyż byłoto życzeniem Napoleona, aby gwardyja dla całéj armii za przykład odwagi lecz oraz i świetności służyła. Żaden z tych oficerów nie był właściwie majętnym z domu, lecz dzięki hojnym, jużto na początku już przy końcu każdéj wyprawy udzielanym gratyfikacyjom i darom, mieli oni wszyscy dość znaczne dochody, aby zawsze należycie wystąpić a nawet dom prowadzić mogli. Już sam przepyszny ich mundur kosztował ogromną sumę. Mały i wielki sztab gwardyi mógł co do ubioru, nazywać się wzorem najkosztowniejszéj wytworności. Przy wszelkich wojskowych uroczystościach występował sztab gwardyi jak złocista kaskada, połyskując od haftów, pióropuszów i stali. Na czele sztabu jechali jenerałowie w aksamitnych uniformach, o lśniących insygniach swojego stopnia, o złotych haftach na każdym szwie swojéj sukni.

Również i w niższych sferach sztabu dawał się

niezwyczajny przepych postrzegać. I tak n. p. był mundur chirurgów i muzykantów nie mniej świetnym niż oficerski; lecz typem wszelkiego wojennego blasku był rejmentowy dobosz grenadyjerów pieszych, którego strój do 30.000 franków kosztował.

Wszystkie korpusy gwardyi, jakoto piechota, konnica, artyleryja, wzniecały w wysokim stopniu podziwienie całego ludu; wszakże jeden z tych korpusów przypominał narodowi czyny Napoleona, będącego dopiero naczelnym dowódcą armii wschodniéj, i nadawał gwardyi cesarskiéj tém właściwszej fizyjonomii, im bardziéj owo wspomnienie rycerskiemu duchowi narodu pochlebiało. Mówimy tu o tak zwanym eskadronie Mameluków, ograniczonym z początku na jedynéj kompanii, która konnym strzelcom gwardyi cesarskiéj zwykle za awangardę lub za flankierów służyła. Nie można sobie wystawić nic bardziéj malowniczego i oryjentalnego, jak ten kostium, przypominający wojowników Saladyna i Mohameda II. Sztandar z buńczukiem, kotły, puzany, zbroje, rząd koni, wszystko było tureckie, a te wytworne stroje, te błyszczące, zakrzywione damascenki, te agrafy na azyjatyckich turbanach, te bramowania złotem i jedwabiami, przywodziły mimowolnie na myśl, zdobycze królów mauryjskich i bohatérskie czyny Abenceragów. Oddział Mameluków w pośród cesarskiéj gwardyi zdawał się być podobnym do tajemniczéj stronnicy z »Tysiąc i jednej nocy,« umieszczonej śród ognistéj mowy Demostenesa.

Troskliwość Napoleona o dobro oficerów od gwardyi, okazywała się w najdrobniejszych wypadkach. Nie przestając na ich czasowém zaopatrzeniu jako wojskowych, starał on im się także jako obywatelom przyszłość zapewnić. I tak n. p. śród najważniejszych zatrudnień wojennych lub dyplomatycznych, a nieraz w najkrytyczniejszém położeniu nie miał on sobie za ubliżenie, zajmować się korzystném żenieniem swoich młodych jenerałów.

Dzieci podoficerów i żołnierzów gwardyi były utrzymywane w osobnych dla nich pozakładanych szkołach, gdzie je pod dozorem zaufanych oficerów czytać, pisać i arytmetyki uczono. Gdy podrosły, kazał je Napoleon do batalijonu uczniów gwardyi w Fontainebleau odsyłać, zkąd późniéj jako podoficerowie, a niekiedy nawet jako oficerowie wychodziły.

W marcu r. 1811 spełniło szczęście wszelkie życzenia Napoleona, obdarzając go synem, a wtedyto powziął on zamiar utworzenia dla nowo narodzonego następcy osobnéj gwardyi, któraby wiekowi jego odpowiadała. Wielu żołnierzy miało synów lub synowców, którzy jeszcze zbyt młodzi byli, aby w zwykłych pułkach służyć mogli, żaden z nich nie miał tyle majątku, aby w szkole wojennej opędzić koszta wychowania, a oprócz tego było pomiędzy niemi wiele sierot, gdyż i sława ma swoję smutną stronę.

Po rozważeniu tych okoliczności, wydał cesarz dekret, ogłoszony w Monitorze pod d. 30 marca 1811, a rozkazujący założenie pułku, który tymczasowie ma się składać z dwóch batalijonów po sześć kompanij, a nazywać się korpusem wychowańców gwardyi, czyli gwardyją Króla Rzymskiego. Komendantem pułku ma być sam nowonarodzony król Rzymski, skoro tylko dojdzie wieku, w którym będzie mógł robić bronią. Ta mała armija otrzymała swój pierwszy zaciąg z pułku, nazywającego się »mały pułk holenderski« który wraz z grenadyjerami holenderskimi w Wersalu stał załogą.

Ułożono osobny regulamin na przypadek gdyby ten korpus miał kiedyś w pole wyruszać, a dotyczące rozporządzenie kończyło się wyrazami: »Grenadyjerów mieć ten korpus nie będzie.«

Ze wszystkich korpusów staréj gwardyj był korpus marynarzów zapewne najmniej licznym; za to jednak było bez wątpienia wybor najwaleczniejszego, niezmordowanego żołnierza. Ich mundur, mianowicie majtków admiralskiego okrętu, był skromny i prosty, lecz pod tym spencerem z grubego niebieskiego sukna biły lwie serca. Marynarze od gwardyi okryli się w każdéj bitwie, w któréj tylko udział mieli, niezgasłą sławą. Jakoż osobliwie w r. 1814 dowiedli, iż marynarka francuzka była zawsze godną spółzawodniczyć z wojskiem lądowém i że bandera francuzka również świetnym czynom przewodniczyła, jak i chorągiew narodowa.

Napoleon miał, jak wiadomo, w wysokim stopniu takt królewskiéj godności i najdelikatniejszego uwzględnienia. Ilekroć jenerał od gwardyi poległ, nigdy nie omieszkał cesarz wynurzyć listownie jego matce, żonie, lub jakiemukolwiek krewnemu, swego ubolewania, załączając przytém zwyczajnie jakąś łaskę, wynagrodzenie, lub usilne wezwanie do oświadczenia, czego sobie kto życzy, lub oczekuje.

Pamiętając zaś o tych, którzy na polu bitwy polegli, nie zapomniał Napoleon tem mniej i o tych, którzy ranni albo chorzy leżeli. Szpital wojskowy w Grand-Caillou, założony przez niego najprzód dla gwardyi konsularnej, a późniéj gwardyi cesarskiéj, pozostanie wiecznym pomnikiem jego pieczołowitości o tych, którzy codziennie życie zań narażali. Panująca w tym zakładzie wygodność i staranność o uprzyjemnienie smutnego w nim pobytu, mogła tylko z urządzeniem hotelu dla inwalidów iść w porównanie. Ludwik XIV i Napoleon mieli tęż samę myśl; obaj wielcy mężowie, przedzieleni od siebie przeszło całém stóleciem, chcieli swoim żołnierzom zostawić świetny dowód wdzięczności.

Gwardyja była we wszystkiem i wszędzie przykładem dla armii. Pojedynki, ten barbarzyński zabytek feudalizmu, ten zgubny przesąd, który wszystkie inne przesądy przeżył, zdarzały się bardzo rzadko między oficerami gwardyi cesarskiéj. Jeżli zaś przecież i tam to złe niekiedy się pojawiło, tedy kazał sobie Napoleon zdawać najdokładniejszą sprawę z powodów i skutków pojedynku, a powziąwszy dostateczną wiadomość, karał z największą surowością przedewszystkiem tego z przeciwników, który był pierwszą pobudką do zwady, bądź on w samym pojedynku zwyciężył albo uległ. Gdy jednego razu, podczas wyprawy egipskiéj, Desgenettes w dzień po sławnym pojedynku między Junotem, wówczas piérwszym adjutantem Napoleona, a jenerałem Lannes, czynił Bonapartemu sprawozdanie o tym wypadku, z którego się okazało, iż Junot przed otrzymaniem okropnego ciosu, który omal życia go nie pozbawił, swemu przeciwnikowi tuż głowę miał rozpłatać— zawołał Napoleon z oburzeniem:

»Czyż oni chcą się wzajemnie wymordować!... Niechże idą do Nilu i mierzą się z krokodylami, i mają sobie za szczęście że im dadzą swój tułów do pożarcia!... Jakby im jeszcze nie dość było mieć do czynienia z Arabami i z dżumą!... Warciby, abym ich sobie kazał przywołać i ....! Ale nie—» dodał po niejakim namyśle— »nie chcę ich wcale widzieć; nie chcę nawet aby mi o nich wspomniano.»

Podobne słowa w ustach Napoleona, były skuteczniejszemi od najsurowszéj kary.

Mniéj pobłażającym niż przy powyższym pojedynku okazał się Napoleon w rozprawie, zaszłéj w r. 1808

w Burgos między jenerałem Franceschetti, adjutantem Józefa Bonapartego i Filangieri'm, pułkownikiem przy jednym z pułków nowego króla Hiszpańskiego, którzy obaj byli koniuszymi tegoż najstarszego brata cesarza. Aby nie przyjść w kolizyję z hierarchiją wojskową, wystąpili obaj przeciwnicy w uniformie koniuszych. Jenerał Franceschetti poległ na placu.

Fechtmistrze w gwardyi nie byli, jakto się zwykle dzieje, napastnikami w pokoju a tchórzami w linii bojowéj; odznaczali oni się owszem najprzykładniejszą łagodnością i wzorową odwagą. Nauka ich miała raczéj na celu rówijać siły fizyczne uczniów, i wykształcać ich zręczność i obrotność, niż wtajemniczać ich w misteryje pojedynkarskich *bottes secrètes.*

Lubo Napoleon względem oficerów od gwardyi, którzy w czémkolwiek zawinili, chociażby to tylko lekkiém wykroczeniem przeciw karności było, nierównie surówszym się okazywał, niż względem oficerów z innych korpusów, tedy działo się to zawsze w odwrotnym stosunku stopnia, i osobistego szacunku, jakiego ciż oficerowie w swoim korpusie doznawali.

»Gdyby mi tylko o śmiałych żołnierzy w gwardyi chodziło« — zwykł był mawiać Napoleon — »natenczas nie potrzebowałbym jak tylko wybrać pierwszych lepszych szeregowców z armii i mianować ich grenadyjerami, lecz ja wymagam czegoś więcéj, wymagam przykładnego zachowania się, moralności i posłuszeństwa. Dla tego robię wybór, i jestem trudny w wyborze.«

Rozrywki i przyjemności tych walecznych gwardyjakow, ilekroć z swoich koszar na miasto wyszli, lub na 24 godzin pozwolenie zabawienia się otrzymali, były nadzwyczajnie niewinne i skromne... Ci zawsze spokojni, potulni, ugrzecznieni *grognards,* jak ich powszechnie nazywano, służyli śród rozhukanego pospólstwa stolicy za wzór łagodności i powagi.

W przeciągu lat czternastu nie zdarzył się ani jeden wypadek, aby jaki oficer od gwardyi, bądźto wyższego, bądź też niższego stopnia, zażądał wystąpić z służby, a nawet prości żołnierze woleli wyrzec się awansu, niż opuścić szeregi swego korpusu. To téż rzekł raz Napoleon do marszałka Davousta: »Moi *starzy* wolą kawałek suchego chleba przy mnie, niż kurę w garnku o sto mil ode mnie. Ale téż jak im bezemnie nie dobrze, tak również i mnieby z trudnością przyszło być bez nich.«

Wieloraka troskliwość i przychylność, jaką Napoleon każdego czasu i we wszystkich okolicznościach dla swojej gwardyi okazywał, ściągnęła jéj podczas piérwszej restauracyi nie jednę bolesną ranę. Naprzód przeniesiono ją o sto mil od Paryża, a późniéj odebrano jéj powoli wszystkie przywileje, które ona sobie kosztem swojéj krwi okupiła. Dalej nastąpiły wypadki roku 1815go, a te wywołały tém sroższe prześladowania gwardyi, która od bitwy pod Waterloo aż do ostatniéj chwili z największém poświęceniem za swego cesarza walczyła. Wszakże i późniéj, aż do dnia kiedy ją zupełnie rozpuszczono, tażtylokrotnie oczerniana gwardyja nieprzestawała dawać nieustanne dowody niezrównanej karności i zamiłowania porządku.

Gdy w r. 1840 popioły Napoleona w tryjumfie do stolicy sprowadzono, wystąpiły, zepewne po raz ostatni, żyjące jeszcze szczątki niewycięźonéj gwardyi, kupiąc się wokoło pogrzebnego wozu wielkiego wodza. Grenadyjery, Mameluki, ułani, dragoni, artylerzyści i marynarze cisnęli się wokoło katafalka, chcąc jeszcze po raz ostatni orszak swemu cesarzowi uformować, a wszyscy oni, pochyleni wiekiem, mogli ozwać się do cieniów nieśmiertelnego bohatéra, jak niegdyś rzymscy gladyjatorowie: »Cezarze! pozdrawiamy cię, którzy na śmierć idziemy.« — Bo nim kilka lat minie, a już może nie będzie tu żadnego z tych wojowników gwardyi, których oręż tyle na szali zwycięztwa ważył; nie będzie już może ani jednego sztandaru, ani jednego munduru tych mężnych hufców, które z kolei wszystkie prawie kraje Europy zwidzały, roznosząc tam sławę swojéj ojczyzny.

Dziś gwardyi cesarskiéj już nie masz. Leży ona ze swémi błyszczącémi proporcami, ze swoją świetną zbroją, ze swojemi dziejami, swoją sławą, i trofejami, w tym samym grobie, który całe cesarstwo pochłonął. Doliny belgijskie widziały ją po raz ostatni.

Ale jeźli ta gwardyja kolei wszelkich ludzkich ustanowień uległa, jeźli jéj na tysięcznych pobojowiskach Europy pogrzebana broń dziś drzémie, i nigdy już w promieniach słońca i zwycięstwa nie zabłyśnie — przecież sława jéj nie zgaśnie w pamięci ludzkiéj, a ta niewstrzymanie dogorywająca dziś gwardyja cesarska, pozostanie na zawsze dla Francyi i jéj armii symbolem karności, heroizmu i poświęcenia.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 51ty i zawiéra: 1) O roślinie pastewnej tussak (*festuca fabellata*) zwanéj. 2) Różne sprawozdania potwierdzające odkrycie p. Guenon'a oznak mlékodajności u krów. 3) O wystawie płodów przemysłowości w Wiédniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) Sposób wytępienia korodłubu (*Curcutio pini*) z lasów jodłowych. 5) Niektóre uwagi nad uprawą chmielu. 6) Słówko w obronie jeżów. 7) Wiadomości handlowe.

Gdy u nas od niejakiego czasu o gramatykę języka polskiego zasadnie napisaną chodzić zaczęło, a nawet za tak ważną pracę honorarium jest wyznaczone; nie będzie przeto od rzeczy poradzić życzliwie tym ochoczym zawodnikom — którzyby się może po to złote runo zbyt skwapliwie a niezasobnie do Argos wybierali — ażeby sobie w przód w tę wyprawę Jazona — przynajmniéj od niejakiéj potrzeby — dziełko w treść obkwite „*Grammatik der polnischen Sprache von C. W. Smith*; w Berlinie r. b. wydane;" za wskazującą igłę wziąć nie zaniedbali, zwłaszcza, jeżeli nam miasto systematycznéj gramatyki — uzbieranéj gramatystyki dać nie zamierzają.

O północno-amerykańskiej lądowej i morskiej sile zbrojnéj, czytamy w pewném niemieckiem piśmie następne wiadomości: Marynarka północnoamerykańska posiada tak mężny i światle ukształcony korpus oficerów, jakiego zapewne niełatwo znaleźć gdzie indziéj, ludzie nadzwyczajnie czynni i śmieli, okręty jak najporządniéj i najczyściéj utrzymane. Porównywając amerykańskie, angielskie i francuzkie okręty, można się przekonać, iż największy nieład i największa nieschludność panują na angielskich, najlepszy zaś porządek i najtroskliwsza schludność na amerykańskich okrętach; wszyscy majtkowie są Amerykanie. Armija składa się z dzielnego korpusu oficerów, ukształconych w szkole wojennéj w Westpoint, która, być może, odznacza się

nieco arystokratycznym duchem, lecz ztemwszystkiem wybornych oficerów dostarcza. Resztę wojska tworzą zwerbowani ochotnicy, pomiędzy którymi jest najwięcej Niemców i Iryjczyków; pierwsi bywają zawsze ulegli i posłuszni, ci zaś krnąbrni i uporczywi; sami Amerykanie uchodzą za najgorszych żołniérzy. System kar cielesnych utrzymuje się tylko w armii morskiéj; z tąd mówią oficerowie od marynarki, iż, gdyby nie *kot* (dziewięciorzemienna dyscyplina), toby żaden poczciwy człowiek na okręcie nie służył, bo musiałby sam jeden wszelką służbę wypełniać. W armii lądowéj zaprowadzono poprawny system francuzki, którego jednak przy tak różnorodnéj masie, ściśle zachować nie podobna. Dezercyja bywa tylko 50cią kijami karana. Surowszemi wydają się kary robocze, ponieważ dłużéj trwają; największą zaś trwogą przejmuje kara długiego, samotnego więzienia. Ważmy przytém uciążliwe marsze, na jakie armija amerykańska ciągle jest wystawiona, nieustanne wycieczki w krainy dzikich Indyjan, przepełnione borami i bagnami, gdzie po kilka tygodni amunicyje i żywność dźwigać z sobą potrzeba, a przyznamy, iż służba téj armii nie jest wcale zabawką. Z téj przyczyny nie są tam żołniérze tak pedantycznie nieustannemi mustrami męczeni, jak niegdyś w Europie, chociaż przy odbywanych niekiedy przeglądach, niezgorszą przeto postawę mają. Konnica północno-amerykańska nie znajdzie sobie równej; artyleryja ze swemi lekkiemi działkami, które tylko 20stą patronami są opatrzone, a wyśmienicie parą koni w galopie uwiezione być mogą, odznaczają się zwinnością i obrotnością, która, jak znawcy twierdzą, ma być jedyną w swoim rodzaju. Co się tycze ewej liczby ładunków, ta w walce z Indyjanami zawsze dostateczną się okazała, gdyż Indyjanie pierzchają zwykle od pierwszego wystrzału.

Pojednanie. Modny świat Paryzki zajmuje się teraz wielce nowiną, dotyczącą sławnej George Sand. Po szesnastu latach poróżnienia z swoim mężem, ma pani George Sand, czyli właściwie pani baronowa Dudevant, wrócić nazad do męża. Pojednanie to miało nastąpić głównie za pośrednictwem ich dzieci. Baron Dudevant dawny wojskowy, jest powszechnie jako człowiek nieskazitelnéj prawości znany.

Święto niewiniątek. W mieście Gandawie, w Belgii, zachowało się od niepamiętnych czasów tak zwane »święto niewiniątek« które się każdéj zimy obchodzi. W tym dniu są dzieci panami domu. Od samego rana przebierają się one w kostium rodziców, dziadka, babki i innych starszych krewnych z rodziny i rządzą całym domem, a rodzice, służący i wszyscy, którzy w domu mieszkają lub w odwidziny przychodzą, muszą rozkazom ich ulegać. Rozumie się iż nowa dynastyja nie szczędzi najrozmaitszych rozkazów, które jednak po większéj części tylko do kuchni, spiżarni i piwnicy się ściągają. Panowanie to trwa aż do późnego wieczora, poczém »niewiniątka« syte władzy i rządów, uradowane, berło w ręce rodziców składają.

Nowa choroba w Paryżu. Opowiadają o niéj następną anegdotkę: Panna Eugenija R..., jedna z pierwszych elegantek przedmieścia Notre Dame de Lorette, zapadła na jakąś chorobę, któréj symptomata żadnéj ze znanych dotąd chorób nie odpowiadały. Pan P... jéj przyjaciel i protektor był w najżywszéj niespokojności. Jego przyjaciółka leżała już od kilku dni na łożu boleści, lecz nie chciała żadnych lekarstw zażywać. W końcu przywołał przecież pan P... jednego z najzawołańszych lekarzy paryzkich. Panna R... wzbraniała się z razu przyjąć lekarza, aż wreszcie przystała pod warunkiem, aby pan P... nie był przy konsultacyi. Stroskany przyjaciel pozostał więc w obocznym gabinecie, i oczekiwał z trwogą odpowiedzi lekarza. Po długich odwidzinach wychodzi w końcu lekarz, z niebardzo zaspokajającą miną.— »I cóż, doktorze, czy jest niebezpieczeństwo?« — »Nie, niebezpieczeństwa niema, lecz ta choroba będzie pana wiele kosztować.« — »Zastraszasz mię; jednak mów; jestem przygotowany na wszystko. — Cóż to więc za choroba?« — »Grasuje ona teraz powszechnie; niemasz prawie nikogo, coby na nią nie cierpiał; wszakże mam nadzieję prędkiego wyléczenia pacyjentki, jeźli mi pan pomocy nie odmówisz.« — »Ach, z całéj duszy!« — »Więc dobrze; oto jest pierwsza recepta; od pana będzie zależeć, czy to ma być ostatnia.« To rzekłszy podał lekarz panu P.... kartkę papieru na któréj stały te słowa: »Daj pan pannie R... kilka filiżanek lekkiéj herbaty i 100 akcyj kolei północnéj.«— Pan P.... skrzywił się zrazu, lecz potém wypogodził się znowuż i rzekł: »Ach mój Boże, dlaczegoż nie wiedziałem tego wprzódy! Byłaby już dawno zdrową. Ale powiedzże mi doktorze, jak się ta słabość nazywa?« — »Jest to *choroba żelaznokolejowa*.« — Nazajutrz rano była panna R... przy najpomyślniejszém zdrowiu.

Zamawianie koni na Litwie. Pewien świadek naoczny opowiada: Byliśmy w towarzystwie kilku osób — pomiędzy którémi znajdował się także stary pułkownik od huzarów — u jednego z naszych przyjaciół na Litwie, posiadającego zawołaną stadninę. Ze wszystkich koni, które nam gospodarz pokazywał, podobał się nam najbardziéj jeden młody śliczny kasztanek, który jednak miał wadę, i to bardzo niemiłą, iż nikomu wsiąść na siebie nie dawał. Przystępowaliśmy z kolei jeden po drugim do krnąbrnego tabuńca i próbowali go dosiąść; nasz stary pułkownik umęczył się z nim z godzinę, chcąc koniecznie swego dokazać — lecz niepodobna. W końcu powiada nam gospodarz, iż jest tu pewien kowal, który posiada sztukę *zamawiania* narowistych koni, przezco one w najposłuszniejsze zwierzęta się zmieniają. Wspomniony tu zwyczaj, czy zabobon, jest szeroko na Litwie upowszechniony i nie jeden wieśniak żyje tam z tego czarodziejskiego rzemiosła. Namówiliśmy więc naszego gospodarza, aby kazał przywołać kowala, i zrobił doświadczenie, które nas wszystkich zabawi, a koniowi szkodzić nie może. Jakoż przybył wnet kowal, stary obrosły Litwin, i zmierzył bystrém okiem rumaka. Bądźto w skutek jego urokliwego spojrzenia, bądź z innej przyczyny, dość, że kasztanek znacznie się uspokoił, a nawet naszemu gospodarzowi po niejakiem skakaniu wsiąść na siebie dozwolił. Wszakże poczuwszy jeźdzca na sobie, zaczął niesłychanie wierzgać, wspinać się i dęba stawać, słowem wszystkiego próbować, aby tylko jeźdźca mógł zrzucić. Nasz przyjaciel siedział wprawdzie mocno na koniu, lecz gdy ten wreszcie zbukany, w tył sobą rzucić i obalić się groził, skinął jeździec na kowala, który tymczasem w milczeniu téj scenie się przypatrywał. Widząc iż go pan wzywa, rzucił się kowal natychmiast na konia, i uchwycił mu się silnie oboma ramionami za szyję. Koń nieprzyzwyczajony do takich pieszczot, spiął się jeszcze wyżéj, porywając z sobą kowala, który mimo swojéj niewygodnéj postawy, mocno konia się trzymał, i usta do lewego ucha przyłożył, jakby mu chciał coś poszeptać. Jakżeśmy się więc nie zdziwili, gdy kasztanek w jednéj chwili się uśmierzył, i drżąc na całém ciele, spokojnie na miejscu stanął! — Będzie się to zapewne dziwną rzeczą wydawać, a przecież ręczę za rzetelność tego zdarzenia, chociaż niewiém *jak* się to stało. Widywałem poźniéj tegoż samego konia, ale odtąd był zawsze spokojnym i posłusznym.

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.